Tom III. 1. Czerwca 1871. Nr. 16.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

DWAJ BRACIA.

Powieść ludowa.

Szatan w ciemnościach łowi; jestto nocne zwierze,
Chowaj się przed nim w światło, tam cię nie dostrzeże.
Mickiewicz.

W zamożnej wiosce S....., kędy Wisła swą srebrną płynie wstęgą, stała karczma drewniana. Nieopodal gościńca dogodny stręczyła przytułek podróżnym i wabiła wieśniaków spieszących do stolicy lub powracających do swych zagród, choćby na chwilkę, choćby na krótką pogadankę z tym i z owym. Była ona własnością Jana Grzywacza, któremu w dziedzictwie po śp. ojcu Macieju, przed kilkunastu laty przypadła.

Właściciel oberży był jednym z tych poczciwych ludzi, co to nie pozazdroszczą drugiemu mienia, ani też nie pożałują ze swego bliźnim udzielić. Pracowity, obrotny a przytem niezwykle sumienny, rodzica swego naśladując, dorobił się znacznej fortunki, której umiarkowanie używał. Żona Salomea była drugą połową jego serca i myśli. Widocznie Bóg błogosławił małżeństwu dobranemu: pracowita jak i on, zapobiegliwa i sumienna, była przedmiotem jego najczulszej miłości, która z wiekiem wzrastała.

O pierwszem poznaniu się obojga różnie mówiono. Jedni twierdzili, że ojciec Salomei był długi czas w służbie dworskiej na Wołyniu. Jan wyprawiony w drogę, za różnemi interesami, zapuszczał się często w głąb Wołynia i Podola, a zdarzało się, że i ukraińskie przelatywał stepy, i docierał aż do Kijowa, stolicy Ukrainy. Będąc raz na Wołyniu, miał się zapoznać z młodziutką Salusią i zakochać się w niej od razu. Powróciwszy do domu, wyspowiadał się ojcu i matce z uczuć serca swego, i prosił o błogosławieństwo

Inni rozpowiadali, że w Galicyi się ożenił, i wziął w dodatku znaczny majątek za jedynaczką. Ale podobno najprawdziwszą zdaje się być wieść, że zapoznał się z sierotą z pod Skalmierza, której ładne liczko i oczko błękitne zaczarowały młodzieńca a dobre serce dziewczyny do stanowczego powiodło go kroku.

Błogosławieństwo rodzicielskie otrzymał, a z tem splotło się błogosławieństwo Boże w cudny wieniec szczęścia i dobrej doli.

Przedmiotem ich miłości rodzicielskiej byli dwaj synkowie, w których rodzice całą pokładali nadzieję, lubo starszy Tomek nie bardzo wiele dobrego na przyszłość obiecywał. Na pozór mała między braćmi była różnica; jednego wzrostu, twarze okrągłe, pełne i rumiane, oczy błękitne, włosy jasne, czoła wysokie; tylko młodszemu jakaś dziarskość patrzyła z oczu.

Jednak podobieństwo to powierzchowne nie było wcale zapowiedzią podobieństwa wewnętrznego. Już od dzieciństwa sprzeczne objawiali usposobienia. Tomek był prędki, uparty, zdradzał niechęć do życia wiejskiego, lecz był bardzo pojętny, i bystrego umysłu, szybko się też wyuczył czytać i pisać. Franuś był wesoły, swobodny i szczery, otwarty, czasem nawet roztrzepany i figla komuś wypłatał, ale bardzo dobre miał serce. Kochał wiejską zagrodę i chętnie pomagał rodzicom w ich dziennych zatrudnieniach. Nie uczył się wprawdzie tak dobrze jak Tomek, lecz mimo to ojciec bardziej kochał Franusia.

Zdarzało się, że gdy Tomek zasługiwał sobie na karę, ojciec zabierał się do przetrzepania mu skóry, lecz matka któ-

rej był ulubieńcem, wypraszała w takim razie dla niego przebaczenie.

Kiedy Tomek ukończył naukę w miejscowej szkole, ojciec widząc, że w domowem gospodarstwie najmniejszej nie będzie miał z niego pomocy, zawiózł go do sąsiedniego miasteczka i oddał do stolarza w nadziei, że rzemiosło prędzej przypadnie mu do gustu, a w przyszłości przyzwoite zapewni utrzymanie. Franusia pozostawił w domu, widząc z prawdziwą pociechą, jak chętnie dzielił domowe zabiegi, o ile to w jego było siłach.

Było to w pamiętnym roku 1831. Straszna grasowała w kraju cholera, która tysiące zabrała ofiar na tamten świat. Dwaj chłopcy zostali sierotami a matka ich wdową.

Wypadek ten w innem położeniu postawił Tomka jak niemniej bardzo dotkliwie wpłynął na Franusia i matkę jego. Nieszczęsny Franuś opłakiwał wespół z matką zgon ojca i narzekał na śmierć okrótną. Inne uczucia zdradzał Tomek Smutkiem pozornym pokrywał wewnętrzną radość, jaka powstała w sercu niegodziwca po stracie tak drogiej. Teraz bowiem z łatwością mógł porzucić nieznośny warsztat i hybel, do którego ani iskierki nie czuł w sobie powołania.

Nalegał też na matkę, by go od majstra odebrała a oddała w dworską służbę. Matka uległa. Lecz kapryśny Tomek nie mógł i na tem stanowisku długo popasać.

Zasmakował w życiu wolniejszem i próżniaczem, porzucił stolarkę a najął się z początku jako posługacz, potem jako pomocnik do jednej z cukierni miasta Ł... Zręcznością i podchlebstwem zdołał pozyskać przychylność chlebodawcy jako też dla swej kieszeni dość znaczną przysporzyć sumkę. Oporządził się nawet zbytkownie na swój stan, więc stąd wziął sobie powód do mniemania, że jest czemś lepszem od wiejskiej młodzieży, a nawet od własnej matki wieśniaczki.

Otoczony towarzystwem licznej próżniaczej gawiedzi miejskiej, wśród której żył i z nią się przyjaźnił, a którą w każdym hotelu, w każdej traktjerni i cukierni większego miasta Wam się napotkać przydarzy, odwykł zupełnie od tych, których nie

cenił; odwykł od ludu wiejskiego, wstydził się brata i matki, zapomniał o wiosce rodzinnej!

O niewdzięczny! o podły Tomaszu! gdybyś ty wiedział co to znaczy miłość wioski rodzinnej, miłość ojca i matki, braci i sióstr, porzuciłbyś czarny strój, który cię nie robił większym ani lepszym, a przywdziałbyś płótniankę i żyłbyś w gronie rodziny. Gdybyś ty wiedział jakie szczęście daje miłość i przestawanie na tem, co od Boga mamy, znojna praca i kawał razowego chleba byłyby tobie skarbem.

Ale niestety! ten święty ogień miłości nie owiewał serca Tomasza Towarzystwo z którem się wdawał, stłumiło nawet iskierkę tego uczucia szlachetnego w sercu jego, jaką miał dla strzechy rodzinnej, dla gniazda skąd wyleciał. Pogarda zacnem rodzeństwem i pycha zapuściły korzenie i rozwielmożniły się w duszy Tomasza; a pycha to wędka, którą szatan zarzuca w głąb serca swej ofiary; to ciemność, pośród której zwierz nocny zdobycz swą łowi i pod swe panowanie zagarnia.

Posłuchajcież, jakie było dalsze postępywanie Tomka. Jednej niedzieli otrzymał Franuś pozwolenie od matki, i wybrał się do miasta, by Tomka, którego szczerze kochał, odwiedzić. Z jaką to radością zbliżał się do kamienicy, gdzie brat służył; serce mu biło na myśl, że za chwilkę rzuci się w objęcia Tomcia... Lecz jakże bardzo się zawiódł! We drzwiach spotkał się z małym brudnym chłopczyną, który mu odpowiedział, że pan Tomasz Grzywaczewski właśnie do dnia wyjechał, a dopiero późną nocą powróci.

Trzeba wam wiedzieć, że Tomek skoro spostrzegł oknem Franka idącego ulicą, czmychnął czem prędzej za drzwi, a brudasa małego wysłał z oznajmieniem o swej nieobecności.

Zmartwił się Franek, i postanowił iść do swego wózka, aby do domu powrócić. Po drodze wstąpił do kościoła, gdzie właśnie nabożeństwo poranne się rozpoczęło. Ukląknął na boku, uderzył czołem o ziemię i kornie skupił myśli swoje do modlitwy. Wśród nabożeństwa wiedziony mimowolną ciekawością, obejrzał się, lecz jakże wielkie było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł brata wyprostowanego i dumnie poglądającego do koła.

Po mszy świętej kiedy ludzie z kościoła wychodzili, zbliżył się nasz Franuś do Tomka, chcąc braterskim uściskiem nagrodzić chwilę smutku. Na widok brata zczerwienił się pan Tomasz po uszy i w tej chwili jakaś tajemna przyszła mu myśl do głowy, bo jak błyskawica skoczył w boczną ulicę i znikł w tłumie przechodzących Nasz wiejski prostaczek stanął jak wryty, oczom swym nie wierzył ani rozumiał zagadkowej tej sceny. Gdy nieco z wrażenia ochłonął, upokorzony czemprędzej powrócił do koni i z miasta wyjechał. Nie śmiał nawet wszystkich szczegułów matce powtarzać, bo nie chciał ranić jej serca.

W parę dni po tem zdarzeniu, Grzywaczowa otrzymała list od pana Tomasza, w którym po grubijańsku upominał się o należny wypłat z części nań przypadającej. Później wyniósł się z miasta i znikł bez śladu. Niektórzy mówili, że widywali go w Warszawie z pańska ubranego, ale były to wieści tylko i nic więcej, jak tysiące podobnych, które żadnej nie mają podstawy. Tak upłynęło lat kilka.

Franuś przemysłem i zapobiegliwością pomnażał majątek uczciwy, wstępując godnie w ślady nieboszczyka ojca. Później sprzedał karczmę z dobrym zyskiem i osiadł na kmiecej roli. Wzorowe prowadził gospodarstwo i miłym dla wszystkich był sąsiadem a matce swej podporą i pociechą w podeszłych jej latach.

By osłodzić starość drogiej mu matki, ożenił się z Zosią, córką zamożnego kmiecia. Szukał on dziewuchy, którąby i starość uszanować umiała i nie lękała się pracy a była przy tem cichą i zgodną. Bóg nagrodził cnoty młodzieńca, bo znalazł, czego szukał. Stara Grzywaczowa kochała Zosię jak najdroższą swą córkę, alež bo trzeba wam było widzieć do tego uległość i posłuszeństwo synowej dla świekry.

Rodzina ta była szczeéliwą. Bóg dał im dziatki, a gdy te podrosły, babka opowiadała im różne przygody z życia swego jak i z życia ich dziada nieboszczyka.

Starsza dziewczynka Salunia, to była pieszczotka babki; ile razy wróciła ze szkoły, ucałowała jej rękę i naopowiadała się nie mało. Wieczorami czytywała na głos z wypożyczonych

książek z biblioteki szkolnej a wszyscy jej słuchali. Niejedna powieść lub bajka dała powód do wesołych śmiechów i żartów i wabiła sąsiadów na wieczorne zabawy w dom Franka Grzywacza.

Byłoto w jesieni. Sprawy i interesa różne wygnały Franka na kilka dni z domu do Warszawy. W sam dzień kiedy miał już do domu powracać, przechodził ulicą Brzozową, gdy w tem nagle został zatrzymany widokiem licznego tłumu miejskich próżniaków, którzy się ciekawie wpatrywali w sień jednej z kamienic.

— Patrzcie no kumo — zawołała opasła baba do drugiej ciekawie wyglądającej z małego sklepiku — jaki to porządek robi komornik u naszych państwa Grzywaczewskich; widzicie jak kanapka zjeżdża od jaśnie wielmożnych — rzekła z szyderstwem i urągowiskiem, wskazując na stary mebel, który właśnie dwaj pachołki znosili.

— Ach! bodaj ich tam Bóg ciężko skarał za moje dwadzieścia złotych — złorzeczyła druga — i za moje nogi, com sobie nałamała po tych przeklętych schodach, aby moje pieniądze odebrać.

— A cóżto jejmość mówisz — wtrącił chłopak od szewca — alboż to on nie dłużen memu panu majstrowi za buty dwanaście złotych, chociaż z butów od dawna ani śladu. Niech go tam wszyscy . . . . porwią.

— Milcz! niedobry chłopcze! — silnym głosem wykrzyknął mężczyzna, dużego wzrostu, wychudły i w wypłowiałym stroju, którego oko jednak zdradzało zapał młodzieńczy i poczciwość. Milcz! albożto nie dość kary Bożej zawisło nad tym nieszczęśliwym, któremu nietylko że ostatnie sprzęty zabrano za długi ale nadto w nędzy i boleściach przyjdzie mu zakończyć to marne życie! I ty śmiesz przekleństwami obrzucać nędzarza, nad którym raczej litować by się należało!

W tej chwili krzyknął nadjeżdżający woźnica miejski na swoje szkapy i zatrzymał się przed kamienicą. Z drugiego piętra znieśli człowieka, bardziej do trupa niż do żyjącej istoty podobnego, i wsadzili go do dorożki dla niego przeznaczonej. Woźnica zaciął konie i popędził szybko ku szpitalowi

Całej tej scenie przypatrywał się Franek z bijącem sercem i wśród wielkiej niepewności. Imię „Grzywaczewski“ zwróciło jego uwagę i padł na domysł, czy też to nie brat Tomasz, ten człowiek, którego przeklinano, i gdyby to on tylko był — błysło mu w myśli — podźwignę go z nędzy i poniżenia.

Właśnie kiedy znieśli nieszczęsnego mieszkańca na drugim piętrze, by go odstawić do szpitalu, poczciwy kmiotek osłupiał i zadrżał poznawszy z rysów twarzy trupiej brata, tak nędznego. Z boleści i żalu omal na głos nie wykrzyknął: O biedny i nieszczęsny Tomaszu! do czegoż to doprowadziło cię przewrotne serce i pycha twoja! wzgardziłeś płótnianką, z której dumny jest młodszy brat twój Franek, z nią zrzuciłeś i cnoty ojców twoich, wygnałeś miłość rodziny i ojczyzny z serca, a teraz tak haniebnie kończysz, lecz Franek wszystko ci przebaczy i dźwignie cię z nędzy za łaską Boga... tylko... nie umieraj...

Wypadek ten powstrzymał Franusia w Warszawie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł kmiotek wchodząc do izby właściciela kamienicy, przed którą wczoraj tyle przykrych a zarazem i bolesnych doznał wrażeń.

— A cóż powiecie człowieku — rzekł gospodarz opryskliwie.

— Chciałbym się od pana dowiedzieć — mówił — cośkolwiek o Tomaszu Grzywaczewskim.

Na to imię rzucił się gniewnie właściciel kamienicy i krótko odparł, że nic o nim nie wie prócz tego, że był łotrem.

Odprawiony z kwitkiem Franuś wstąpił do sklepiku drobiazgów, gdzie od gadatliwej przekupki dowiedział się że Tomasz wieziony do szpitalu, w drodze umarł, i że jego żona przed wierzycielami z miasta się wydaliła.

Wiadomość ta piorunem boleści raziła serce Franka; więc westchnął tylko z głębi piersi do miłosierdzia Sędziego, przed którego trybunałem stanął Tomasz, syn karczmarza.

Na wyrozumienie musimy powiedzieć, że Tomasz Grzywacz gdy się dostał do Warszawy zapoznał się z pewnym człowiekiem piszącym u adwokata. Temu pomagał w przepisywaniu, w czem się do tego stopnia przećwiczył, że został

stale u adwokata do przepisywania zgodzony. Towarzystwo, w którem się teraz znajdował nie było lepsze od poprzedniego. Pieniądze od matki otrzymane posłużyły mu do rozpusty. Liczni przyjaciele, których ciągle gościł, wciągli go do kart a te były jego zgubą. Nadto ożenił się z siostrą swego kolegi, kobietą zalotną i zepsutą Rujnowała go też sprawianiem nieskończonych strojów nie mniej, jak on sam siebie niefortunną grą w karty i ciągłemi balami.

Resztę sami odgadniecie

Zniszczył się zupełnie. W takim stanie rzeczy pozostał mu jedyny przyjaciel — kieliszek! Miejsce u adwokata stracił, gdyż dla różnych hańbiących uczynków został oddalony Musiał żyć z oszustwa pewien czas, do niczego bowiem innego nie był zdolny, a zresztą i uczony w takiem moralnem poniżeniu nie łatwoby znalazł jakiekolwiek zajęcie.

Nakoniec wpadł w chorobę piersiową i w młodym wieku życie zakończył, styrawszy poprzód wszystko, nawet wiarę i to uczucie, jakie prawdziwy Polak żywi dla swej drogiej ojczyzny!

A Franuś . . . Franuś dotąd żyje szanowany od wszystkich i szczęśliwy, bo błogosławiąca ręka umierającej matki przychyliła mu błogosławieństwo Boże, na które Franuś z rodziną, życiem swem cnotliwem sobie zasłużył.

Pisałem w Lutczy w maju 1871.

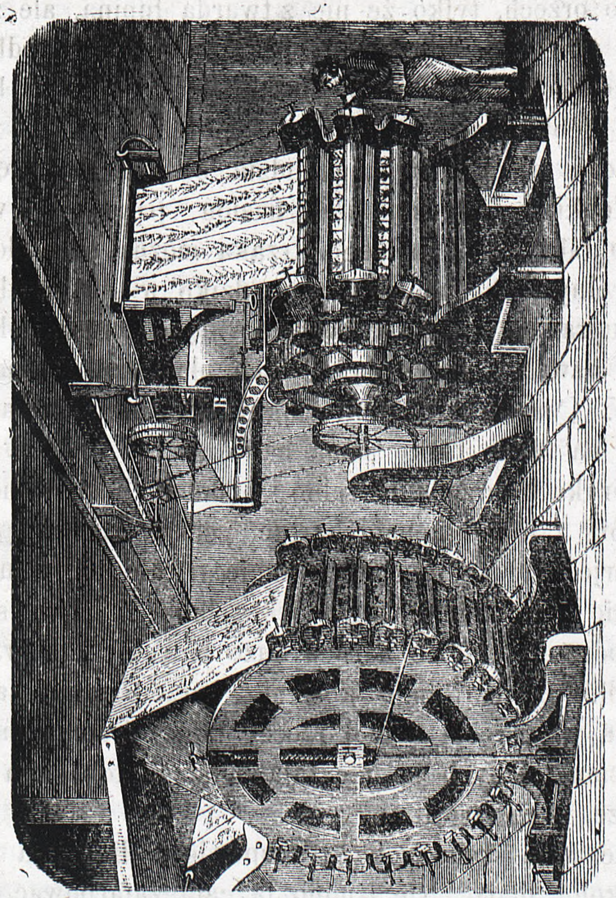
J. P.
nauczyciel szkół ludowych.

Wełna i bawełna.

(Dokończenie).

— Otóż — mówił dalej Wojciech – powiedziałem wam o wełnie, skąd się bierze i jak z niej różne rzeczy ludzie wyrobić umieją Teraz wam powiem o bawełnie która po lnie i wełnie, najpierwsze ma miejsce, jako rzecz do przyodziewu ludzkiego niezbędna. Otrzymujemy bawełnę z pewnej rośliny, która w ciepłych krajach rośnie, podobnie jak u nas len, z któ-

rego włókien nici przędziemy i płótno wyrabiamy. Tylko że len do bawełny nie podobny. Len rośnie nizko, jest mały wątły, a bawełna znacznie wyższa. Bawełna rośnie w krzakach do trzech łokci wysokich, czasem nawet jakby drzewko, tak jest rosla i silna, czasem tylko jako jednoroczna roślina, to



Maszyna do drukowania perkalu.

jest taka, że korzeń jej tylko przez jeden rok łodygę wydaje, poczem cała roślina usycha, i trza ją na nowo zasiewać, ot zwyczajnie zależy to od ziemi, na jakiej ją posadzą, a także od pogody i innych warunków. Gdym był w Krakowie, widziałem w sztucznym ogrodzie, albo jak tam nazywają cieplarni, gdzie różne zagraniczne rośliny w szklannych domkach utrzymują, krzaki bawełny. Były to krzaki dwie do trzech stóp wysokie, łodyga na dole brunatna, wyżej zielona z czarnemi plamkami. Kwiaty na tych krzakach były wielkie i żółte. Gdym

się przypatrywał, nadszedł jakiś poczciwy panisko, i opowiadał mi o tej bawełnie. Widno że to musiał być tamtejszy jakiś ogrodowy pan, bo dużo mi rozpowiadał a dokładnie i dobrze. Uważałem pilnie i niektóre sobie spamiętałem. Otóż, mówił mi, że z tych kwiatów żółtych, gdy okwitną, robi się owoc jakoby duży bardzo orzech, tylko że nie z twardą łupiną, ale z cienką łuską. Gdy ten owoc dojrzeje, to pęka łuska, a w środku znajdują się nasiona owinięte w cieniutkie włókno, czyli bawełnę. Są to całe kłębki białej bawełny, w środku każdego jest nasienie. Podczas zbioru zrywają ludzie codzień rano te owoce, wyjmują kłębki, oczyszczają je z nasion, pakują do worów, i posyłają do fabryk. Z jednego krzaka można mieć do dwóch funtów bawełny. Roślina ta rośnie dziko w Azyi; ale ludzie poczęli ją uprawiać, zaczęli zasiewać nią ogromne pola, które plantacjami bawełny nazywają. Takich plantacyi najwięcej jest w Ameryce. Czasem kilka mil ciągnie się taka plantacja, nic nie ujrzysz na około tylko samą bawełnę.

W fabrykach przędą bawełnę, podobnie jak wełnę i inne rzeczy. Robią z niej barchan, kartun, perkal, muślin i tym podobne materje. Nie są te materje takie trwałe jak wełniane, bo już sama nić bawełniana bardzo jest słabą i łatwo się rwie. Ale z powodu, że ludzie bardzo dużo bawełny uprawiają, że zasiew i zbiór bardzo mało kosztują, przeto bawełna bardzo jest tanią, a więc robią z niej rzeczy tanie, i do sukna, a nawet do płócien lnianych ją mieszają. Dlatego to sukna i płótno mamy tańsze, a nie trwałe.

Jeszcze wam jedno pokażę a opowiem. Bawełna sama ze siebie ma kolor biały. Nie trudno ją całą zafarbować na jakiś inny kolor. Jeśli się nici zafarbuje np. na niebiesko, to i perkal albo inny wyrób będzie cały niebieski. Ale trudniej pomalować kwiatki i inne wzorki na materji. Jak widzicie mój Adamie, wasza żona ma na głowie chustkę perkalową w piękne czerwone kwiatki malowaną. Cała chustka bardzo niedroga, a któryżby malarz zechciał ręką to wszystko pomalować. Wieleby on czasu stracił na to i coby sobie kazał zapłacić. I dopiero jego malowanie na niby się zdało, bo po pierwszym lepszym deszczu, albo też w praniu całe by malowanie się zmyło. Otóż

wynaleźli ludzie osobne trwałe farby, i sposoby do farbowania Najprzód używano do tego drewnianych klocków, najczęściej z drzewa gruszkowego, na których z jednej strony wzorek był wycięty. Perkal nawinięty na walcu, rozwija się zwolna, i przesuwa przez wielki stół. Klocek zaś macza się we farbie, dalej przykłada na perkal i z góry młotkiem drewnianym lekko uderza Zamiast drewnianych klocków używa się także metalowych, bo ostatnie są znacznie trwalsze. Aby kilka kolorów odbić, trzeba tyle różnych klocków ile kolorów.

Łatwo zrozumiecie, iż taka ręczna robota bardzo tylko zwolna postępuje. Przeto wynaleźli ludzie do tego maszyny. Ot tu w mojej książce, macie rysunek takich maszyn.

Tu pokazał Wojciech rysunek takich maszyn, a my go także naszym czytelnikom podajemy.

— Maszyna taka składa się najprzód z walca żelaznego okrytego grubem suknem, a potem z walców miedzianych na których są wzorki powyżynane. Osobny przyrząd powleka te walce miedziane farbą, ale w ten sposób, że tylko na wzorkach farba zostaje, a walec cały jest czysty. Otóż pomiędzy tymi walcami a walcem żelaznym przesuwa się perkal, a że walce mocno się do siebie naciskują, więc wzorki dokładnie się na perkalu odbijają. Zadrukowany w ten sposób perkal biegnie na inne gorące walce, w skutek czego farba na nim zasecha. Doprowadzono dziś do tego, że teraz już i dwanaście różnych farb odrazu na perkalu odciskać można.

Wynalezienie owej maszyny nadało dopiero wielki pokup kolorowanym wyrobom bawełnianym, gdyż fabrykanci mogli dawać je tanio, pomimo że były z ładnemi wzorkami. Najwięcej fabryk z takiemi maszynami znajduje się w Anglii, a handel tym towarem tak się podniósł, że obecnie w Anglii corocznie około 1500 miljonów łokci różnych perkalów, muślinów itp. kolorują.

Teraz już wiecie, kochany Adamie, skąd się sukno bierze, i jaka to różnica między wełną a bawełną.

— Dziękuję wam Wojciechu — odparł Adam — uważałem sobie wszystko dobrze, i kiedyś przy sposobności znowu innym rozpowiem.

— A więc bywajcie mi zdrowi, miesiączek wyjrzał, i ślicznie świeci, będzie mi widno do domu powracać, bo staremu to i wcześniej trza spać pójść, i wywczasować się na jutrzejszą pracę.

— Pozwólcie że was odprowadzę do domu, a niezapominajcie o nas i znowu kiedy odwiedzcie. Przy was to człowiek wie, że była Niedziela, bo się czegoś nauczył, a nie stracił czasu na próżnem gadaniu.

MAZGAJ.

Jest muzyka, będzie tanek
  Aże dusza rada;
A czemuż ten smutny Janek
  Sam na boku siada?

Przyleciała piękna Kasia,
  Oczkami go łechce,
I po twarzy głaśnie Jasia,
  Czemu tańczyć nie chce?

A Jankowi serce puka,
  Palcami przebiera:
„Oszuka — czy nie oszuka,
  Szczera — czy nie szczera“.

Więc się Kasia boczy trocha,
  Janek jeszcze bada:
„Czy mnie kocha, czy nie kocha,
  Zdrada — czy nie zdrada“.

A tu w koło żwawe pary,
  Tak się wszystko rusza,
Że tam chyba już kto stary,
  Nie skacze mu dusza.

Kasia czeka tanku chciwa,
  Skrzypki rżną siarczyście.
Janek jeszcze kwiat obrywa
  I rachuje liście...

Poszedł Kuba, porwał dziewkę,
  Uwija z nią w tanku;
„Siedźże grzybie, aż cię zdybie
  Baba“ — miły Janku.

Dominik Moniuszko
bardzo zacny pan polski.

Bóg z łaskawości swojej w różnych stronach ukochanej naszej ziemi polskiej dawał i daje zacnych ludzi, którzy wszelkiemi sposobami starają się o dobro polskiego ludu i z całą usilnością pragną jego szczęśliwości.

Do takich wybrańców i szczególnych dobrodziejów ludu należy niezaprzeczenie Dominik Moniuszko, który 1787 roku

urodził się na Litwie. Ukończywszy nauki w szkołach, wstąpił do wojska polskiego i tak się chwacko i gracko popisywał, że został majorem. Ale nie jemu było nosić pałasz, bo Bóg przeznaczył go do czego innego. Dominik Moniuszko bez ustanku myślał nad tem, jakby mógł wykształcić i umoralnić włościan, albowiem posiadał znaczne dobra ziemskie. Poszedł więc za popędem swojego serca i ulubionych swych myśli; wystąpił z wojska i osiadł w swych dobrach w guberni mińskiej. Zaczął od razu wprowadzać w życie to, o czem marzył. Wyfundował zakład dla dziewcząt wiejskich, w którym uczyły się różnych wiadomości, żeby były dobremi gospodyniami, żonami i matkami, żeby sobie umiały uprzyjemniać życie i żyć na pociechę Boga i ludzi.

Dobroczynny pan dziedzic nie trwonił pieniędzy na marne rzeczy, ale łożył je na to, coby mogło rzetelną przynieść korzyść bliźnim. Wiedząc, że tylko za pomocą nauki można lud podnieść z błędu i ciemnoty, rozkrzewić moralność i polepszyć mienie, założył 25. października 1824 roku szkołę parafijalną w Radkowszczyźnie dla chłopców, u których ziarno nauki prędzej się przyjmie, niż u starszych ludzi. Szkółkę podzielił pan dziedzic na dwa oddziały. W pierwszym uczyli się chłopcy początkowych wiadomości, jako to: myślenia, poznawania rzeczy, kształcenia serca i pamięci; w drugim oddziele, który się nazywał wyższym, wykładano naukę religii, czytanie słowiańskie, polskie i rosyjskie; uczono pisania, rachunków, rysunków, ogrodnictwa, rolnictwa, leśnictwa, pszczelnictwa, nauki zdrowia, nauki o chowie i leczeniu bydła, rękodzieł rolniczych i rzemieślniczych i innych nauk. A wszystko to działo się kosztem pana dziedzica, ponieważ włościanie prawie zupełnie nie chcieli się przyczyniać do tej sprawy, i wielu nawet było takich, którzy krzywem patrzyli na to okiem, jakby się gniewali, że ich synowie mogą wyjść na ludzi i mieć znaczenie na szerokim świecie. Tak to czasem nierozum zaślepia ludzi i od najpiękniejszych odwodzi ich czynności. Ale pan dziedzic nie zważał na to wcale, zgromadzał młodzież i najtroskliwszą otaczając ją opieką, umieszczał w zakładzie, kazał uczyć przez zimę — dając przez czas ten każdemu chłopcu bezpłatnie je-

dzenie i mieszkanie w szkole i to, czego potrzebował w ciągu nauki swojej.

Kiedy nadeszło lato, wykonywali i zastósowywali chłopcy to wszystko, czego się przez zimę nauczyli, przy szkółce lub po domach rodzicielskich dla nabrania, jak to mówią, praktyki. Pan dziedzic zaprowadził przy szkole w tym celu ogród owocowy, warzywny i lekarski; urządził aptekę i pracownię do niej potrzebną, a do praktyki rolniczej sprowadzał udoskonalone maszyny, aby oswoić młodzież z postępowem gospodarstwem zagranicznem, by ją pouczyć o wynalazkach i korzyściach, jakie przynosi dobrze prowadzone gospodarstwo rolne. Sam dziedzic był duszą tego zakładu; wszystkiem się zajmował, wszystkiego doglądał, aby dać dobry przykład, jak pracowity gospodarz zachowywać się powinien, a młodzież słuchała go pilnie i uważnie, bo wiedziała o tem dobrze, że kto nie umie słuchać, nie będzie umiał potem rozkazywać. Pan dziedzic dla dobra kmiotków i ich dziatwy poświęcił swoją naukę i wysokie zdolności, ofiarował całe swoje mienie, by jako dobry ojciec cieszyć się ich powodzeniem i moralnością. A kto przybył w tamte strony, nie mógł się dosyć nacieszyć prześlicznym ich widokiem, bo pan dziedzic przy każdej chacie włościańskiej pozakładał ogrody owocowe, a wiedząc, że między starszymi ludźmi są przesądy i zabobony, wytępiał je starannie, by czystą zaprowadzić moralność, albowiem był zdania: „Gdzie nie ma moralności, nie ma szczęśliwości.“

Radawało się serce jego z owoców pracy, jednakże przy końcu żywota swojego przykrego doznał zawodu, ponieważ starsi włościanie odpłacali mu się obojętnością i lekceważeniem. Ale on na to tak mówił:

— Mogę spokojnie umierać, bo choć starszych nie naprawiłem zupełnie, wypiastowałem przecież młode pokolenie, które na świat innem będzie patrzyło okiem.

I nie omylił się czcigodny dziedzic. Młodzi ludzie wielbili go z jego zasług i modlili się za nim do Boga, bo ich na wyższe wyniósł stanowiska, zapewnił im przyszłość przez rozwinięcie ich zdolności i wpojenie tylu pożytecznych i zbawiennych nauk. Żałowali go niezmiernie, gdy na dniu 28. paździer-

nika 1848 roku wśród dotkliwych cierpień wyzionął ducha, i do dziś dnia powtarzają, że w tamtych stronach nie było dotąd lepszego pana od Dominika Moniuszki.

Po śmierci jego upadła szkoła, bo nie mogła już znaleść drugiego takiego kierownika i z takiem poświęceniem się dobrodzieja. Ale do dziś dnia kwitną jeszcze jego zasługi i cnoty; nie zatarły się dzieła, któremi ozdabiał swoje życie. A chociaż nie osiągnął wszystkiego, co osiągnąć pragnął, osiągnął uznanie i zjednał sobie trwalszą zasługę w niebie, której mu niektórzy odmówili tutaj na ziemi.

Pomódlcie się bracia, za jego duszę i proście Boga, żeby było więcej takich ludzi, którzyby z prawdziwem zaparciem siebie samych tak gorąco pracowali dla dobra bliźnich i wiejskiego ludu!

Józef z Bochni.

Prawość św. Jana Kantego.

Do Rzymu Jan Kanty szedł onego czasu
I wreszcie go droga przywiodła do lasu;
Idzie, myśląc sobie o stolicy świętej,
Wtem nagle od zbójców został napadnięty.
— I cóż masz przy sobie? — dziki herszt zawoła
— Mam mało w mej kiesce, bom sługa kościoła;
Weźcie me zasoby! — Wzięła podła tłuszcza
I Jana Kantego z życiem przecie puszcza.
I idzie mąż święty, ale w drodze staje,
Rozmyśla, bo się mu koniecznie wydaje,
Że w swej kieszeni jeszcze coś posiada.
Znajduje, wraca się i zbójcom powiada:
— Weźcie i te grosze, co je mam przy sobie;
By wam ich nie oddać, tego ja nie zrobię,
Bobym został kłamcą, że już więcej nie mam —
A jeszcze złotówkę w dłoni swojej trzymam.
Zdumiał się herszt srogi i prawością tknięty
Na czyn tak szlachetny, otwarty i święty,
Zrosił oczy łzami, do głębi się wzruszył,
A za nim się cały orszak zbójców skruszył,
Upadł do nóg Jana rozbrojony cnotą:
— Przyjm od nas—wołano—wszystko twoje złoto,

I daruj nam winę, żeśmy je zabrali,
Myśmy w tobie panie, świętego poznali!...
— O łaska to Boża! — Jan Kanty się dziwi —
Porzućcie te lasy, będziecie szczęśliwi,
Pracując uczciwie, nie żyjąc z grabieży!
I popłoch się wielki wśród zbrodniarzy szerzy,
Rzucają swe palki, każdy z lasu rusza,
Bo słowo świętego do głębi ich wzrusza..
I pewnie on duszę niejednego zbawił;
Ukląkł, pomodlił się za cud który sprawił.

Józef z Bochni.

Wystawa rolniczo-przemysłowa.

W Rzeszowie urządza Towarzystwo gospodarczo-rolnicze wystawę rolniczo-przemysłową na przyszły miesiąc. Trwać będzie ta wystawa od dnia 2. do 5. Lipca wieczorem. Obszerniej podamy o tem wiadomość w przyszłym numerze; dziś tylko zawiadamiamy was, że każdy może tam posyłać pocztą albo koleją przedmioty dotyczące gospodarstwa, jakoto: młode konie, bydło rogate rozpłodowe, jałowniki, cielęta, tuczone woły, owce, świnie, drób wszelaki itp. Przedmioty tam wystawione ubiegać się będą o nagrodę. Kto się czem wzorowem poszczyci, ten piękną otrzymać może nagrodę, a do tego sprzedać może po po dobrej cenie. Towarzystwo gospodarcze czyni to dla tego, aby zachęcić do dobrego prowadzenia gospodarstwa rolnego, lasowego, ogrodowego i domowego, oraz pszczelnictwa, jedwabnictwa, górnictwa.

Ktoby chciał co wysłać niech adresuje:

Do Wielmożnego Dr. **Alojzego Rybickiego** w Rzeszowie; najpóźniej do dnia 30. Czerwca.

Złote ziarna.

Nie rób źle światu, nie masz ztąd korzyści,
Albo cię ona zbyt krótko ucieszy;
I twych zamiarów zbyt bujnych nie ziści,
Lub złe nawzajem, ku tobie pospieszy.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.